Pętle pamięci



GENIUS CREATIONS

MARCIN KOWALCZYK

dla Magdy

SPIS TREŚCI

1.	4
SESJA PIERWSZA	10
2.	41
SESJA DRUGA	44
3.	56
SESJA TRZECIA	64
4.	81
SESJA CZWARTA	86
5.	111
SESJA PIĄTA	116
6.	131
SESJA SZÓSTA	159
7.	169
SESJA SIÓDMA	181
8.	186
SESJA ÓSMA	188
9.	217
SESJA DZIEWIĄTA	227
10.	254
SESJA DZIESIĄTA	268
11.	299
SESJA JEDENASTA	334
12.	368
SESJA DWUNASTA	401
13.	405
SESJA TRZYNASTA	411
14.	415
DZIEŃ ZERO	418

1.

Poczekalnia jest kanciasta i oszklona. Przypomina terrarium. Vermil Olson czuje, że pocą mu się ręce. Wciska je między nogi. Naprzeciwko siedzi jowialny grubasek i uśmiecha się przyjaźnie. Najwyraźniej świetnie zna to miejsce.

– Niech się pan nie denerwuje. To nie boli – zagaja.

– Aha.

– Za pierwszym razem też się bałem. Teraz nawet to lubię. A pierwsza lektura?! – Cmoknął, imitując zachwyt. – I niech pan nie wierzy tumanom z „Nowych Książek" czy „Literatury na Świecie". W tym, co robimy, nie ma niczego złego. Wciąż jesteśmy artystami.

Vermil milczy. W poufałym tonie mężczyzny jest coś niestosownego. Gra na najczulszych strunach.

– No bo skąd są te fabuły, no skąd? Z nas! Z nas! Wyrwane z mózgu jak jaja z moszny! Każdy rodzaj tworzenia jest intymnie bolesny – kończy sentencjonalnie grubasek.

Policzki nadymają mu się jak u żaby. Chce jeszcze coś dodać, ale brakuje mu słów. Zapada chwila ciszy. Słychać miarowy oddech pasywnego biurowca.

– Pan już coś wydał – odzywa się Vermil.

– No jasne! – odpowiada tamten z emfazą.

Olson kamienieje. Może to sławny pisarz, którego powinien znać? Grubasek tymczasem wyjmuje logoszyt. Po ekranie przesuwa się karuzela kolorowych okładek.

– Cykl?

– O tak, i to nie byle jaki. Siedem tomów o wikingach.

– Sprzedają się? – Vermil patrzy krytycznie na hiperrealistyczne grafiki. Nagle zaczyna czuć niewytłumaczalną przewagę nad rozmówcą.

– Wie pan, jak jest z dobrą literaturą. Cały czas walczę, ale już mnie dostrzegli. Miałem parę spotkań autorskich.

– Siedem tomów budzi szacunek. Jeden chyba nawet czytałem. Ten z wężem morskim.

– Naprawdę? – zapala się autor, a Vermil ma wrażenie, że całkowicie panuje nad rozmową. Strach i zdenerwowanie mijają, zostaje tylko litość dla pociesznego grafomana.

– Ma pan talent do scen batalistycznych. Prawie czuje się krew – rzuca.

Tamten jest bliski rozrzewnienia.

– Proszę mnie wpuścić. Wrzucę panu na węzeł całą sagę. Oczywiście gratis! Podlajkuje mnie pan tylko tu i ówdzie…

– Nie mam węzła przy sobie – kłamie Olson. – Tu będzie dość sprzętu.

– Rozumiem. – Autor nie kryje zawodu.

– Tak sobie myślę – ciągnie Vermil – że to był jednak zły pomysł.

Wstaje i sięga po kurtkę wiszącą na pająkowatym wieszaku.

– Ale dlaczego? Przecież kariera! – mityguje grubasek.

– Spróbuję inaczej.

W tym momencie w drzwiach pojawia się pielęgniarka. Jej sterylna uroda pasuje do bieli fartucha. Patrzy na mężczyzn, potem na trzymany przez grubaska logoszyt.

– Pan Vermil Olson, zapraszam.

– Ja właśnie…

Ale ona już się odwraca, oczekując najwyraźniej, że wywołany podąży za nią świetlistym korytarzem. Vermil chce powiedzieć, że się rozmyślił, jednak wciąż patrzy w jej rozkołysane biodra. Wstaje. Idąc w stronę rozsuwanych drzwi, słyszy jeszcze pozdrowienia grubaska. Nie odwraca się.

Gabinet przypomina pomieszczenie w przychodni szpitalnej. Stoją tu: łóżko, parawan, coś na kształt lekarskiego biurka i wygodny, profilowany fotel. Jednak jest też istotna różnica. Ze ściany po lewej stronie wystaje korpus HOMERA. Zupełnie jak na folderach reklamowych Twórczości. Za biurkiem siedzi przystojny czterdziestolatek. Jego spojrzenie mówi, że został przekręcony o jakieś dwadzieścia lat. Gestem prosi Vermila, by usiadł na fotelu. Pielęgniarka pomaga mu ułożyć głowę.

– Panie Olson, jestem doktor Zarayev, będą miał przyjemność pana wprowadzić. To moja asystentka, pani Klara. – Zarayew z wyraźną przyjemnością patrzy na kobietę. Z pewnością ze sobą sypiają.

Ta zachowuje pełną profesjonalizmu obojętność. Doktor znów spogląda na Vermila.

– Proszę się nie denerwować.

Olson kiwa głową. Całą jego uwagę zaprząta HOMER. Zarayev tymczasem z namysłem gładzi stalowoszarą powierzchnię maszyny.

– Pan jest autorem. HOMER to tylko kartka i długopis. Im prędzej pan to zrozumie, tym większą satysfakcję będzie pan czerpał z pisania.

– Wiem, po prostu nigdy nie widziałem zlepiacza narracyjnego na żywo.

– Mam nadzieję, że po tej sesji przekona się pan do regularnych spotkań.

– Zobaczymy. – Olson jest pełen rezerwy.

– Oczywiście. – Uśmiecha się Zarayev i dodaje: – Podpisał pan wszystkie dokumenty, ale może jest coś, co mógłbym wyjaśnić, doprecyzować?

– Czy to wciąż jest sztuka? – Vermil patrzy gdzieś w bok. Czuje się jak dupek, który przez całą noc powstrzymywał się przed pytaniem: „było ci dobrze, kochanie?", by w końcu i tak je zadać.

Zarayev udaje, że się zastanawia.

– Odpowiem tak – zaczyna. – Co definiuje sztukę? Sposób jej powstawania? Zważywszy na różnorodność technik ekspresji twórczej, chyba nie. Więc może świadomość? W takim razie musielibyśmy skreślić wszystkie dzieła powstałe pod wpływem środków psychoaktywnych, w twórczym transie. Zresztą, czym innym jest świadomość jako taka, a czym innym świadomość artystyczna. Gdyby dzieło było tworem w stu procentach racjonalnym, najlepszym pisarzem stałby się ten, kto posługuje się językiem w sposób najbardziej sprawny. Absurd, prawda?

– Może...

– Moim zdaniem najważniejsza jest intencja. A pan przecież chce tworzyć.

– Tak!

– Ja wiem. – Zarayev układa dłonie w ekspercki trójkąt. – Pan ma poczucie, że używając HOMERA, nie będzie prawdziwym artystą.

– Coś w tym rodzaju.

– A czy próbował pan pisać?

– Tak – odpowiada z ociąganiem Vermil. – Wielokrotnie.

Przez chwilę szuka odpowiednich słów. Przeżuwa wspomnienia twórczych upokorzeń.

– Mam to w głowie, gdzieś na krawędzi świadomości, ale słowa... w słowach ginie wszystko, co fascynowało mnie w pomyśle. Pisałbym, ale przeszkadza mi język. Czuję fabuły, ale nie umiem ich opowiadać.

– Właśnie dla takich ludzi powstały zlepiacze narracyjne. Jeśli w czyjejś głowie niczego nie ma, HOMER mu nie pomoże. A tak w ogóle, co pan pisze?

– Fantasy.

– „Nic darowane, wszystko pożyczone" – recytuje Zarayev. – Przynajmniej niektórzy tak twierdzą.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – Jeży się Vermil.

– Proszę się nie denerwować, nie chcę pana obrazić. Myślę raczej o pozytywnych aspektach skostnienia konwencji. Łatwiej tu o prawdziwą rewolucję, rozbicie skorupy, trzeba tylko znaleźć sposób. Mam nadzieję, że stanie się to właśnie dzisiaj! – Mruga porozumiewawczo, a widząc brak reakcji interlokutora, ciągnie: – Przed fantastyką jest przyszłość. Realiści, naturaliści, psychologiści – zapala się nagle, zamykając rękę Vermila w poufałym uścisku – nie potrafią już niczego wnieść, niczego zrobić.

Nie rozumieją, że rzeczywistości nie da się przygwoździć, zamknąć na wieki w składniowym akwarium. Po prostu nie nadążają.

– Co z awangardą? – wtrąca Vermil.

– Wypaliła się, owładnięta manią niszczenia. Tylko że nie ma już czego niszczyć. Podłączałem wielu takich. Nawet HOMER nie może niczego sklecić z tego bełkotu. Szanuję fantastów. Nie nadymają się, nie udają powagi, nie boją się śmieszności.

– Dobrze, jestem gotowy – mówi Olson.

Ma dość tych pseudokrytycznych wynurzeń. Palce Zarayeva tańczą po holopanelu.

– Zaczynajmy – uśmiecha się. – Klaro, mogłabyś skręcić filtr spójności na „cztery"? Pan mi wygląda na wyjątkowo świadomego. Pozwólmy mu puścić wodze fantazji.

Vermil jest tak podniecony, że ledwie zauważa zastrzyk, który robi mu Klara.

– Nanoboty ruszyły – instruuje Zarayev. – Ale proszę się nie martwić. Jutro, po porannym sikaniu, już ich w panu nie będzie.

SESJA PIERWSZA

Komuś jeszcze marzy się kalectwo?

– Jak tu wszedłeś?! – Szpakowaty arystokrata nie krył zniecierpliwienia.

– Pierścień książęcego śledczego to najlepszy klucz do wszystkich drzwi, panie de Stern – odparł intruz.

– Słyszałem o tobie. Mervil, tak? Nazywają cię „pijawką".

– Możliwe, ale wolę porównania do psowatych, jeśli pan hrabia pozwoli. Hart, ogar czy coś w tym rodzaju.

Jakby na przekór hardym słowom gościa, zniecierpliwienie Wilfreda de Sterna zdawało się powoli mijać. Wstał z kunsztownie rzeźbionego fotela, odłożył książkę i jął przechadzać się po robiącej imponujące wrażenie bibliotece. Jego wypielęgnowana dłoń raz po raz gładziła krótką brodę. Kiedy znów otworzył usta, sprawiał wrażenie kogoś, kto replikuje w uczonej dyspucie:

– Będziesz za to wisiał, wiesz o tym, Mervilu?

– Jeszcze nikt nie ośmielił się grozić mi w ten sposób, panie.

Arystokrata uśmiechnął się z przekąsem.

– Jestem potomkiem jednego z najstarszych rodów w tym księstwie, więcej, w tym kraju, a ty wtargnąłeś

do mojego domu przemocą i zachowujesz się w sposób wysoce niestosowny. Wielu nazwałoby cię samobójcą.

– Wybacz, panie, nie jestem zbyt biegły w zasadach etykiety. Ustępuję twej wiedzy i doświadczeniu. Może zechciałbyś mi łaskawie pokazać, jak powinienem się zachowywać, by nie urazić twojej dumy?

De Stern nie był wytrawnym dyplomatą i tym razem skrzywił się gniewnie. Mervil jednak nie pozwolił hrabiemu wybuchnąć, wyciągnął pergamin i zaczął urzędowym tonem:

– Wilfredzie Konradzie de Stern, jesteś aresztowany za zlecenie zabójstwa Tiliana Muniusa, siostrzeńca miłościwie nam panującego księcia Avidiona.

Arystokrata ruszył w stronę śledczego, jakby chciał mu wyrwać pismo, lecz w tym momencie do biblioteki wpadli zbrojni, prowadzeni przez mocno zbudowanego, na oko dwudziestokilkuletniego mężczyznę. Na wszystkich napierśnikach lśniła oskarżycielsko biała róża rodu Avidionów. Mervil dał znak i żołnierze otoczyli hrabiego, odcinając mu dostęp do okna. Kilku z nich odwróciło się, bacząc na tyły. De Stern patrzył nienawistnie na nowo przybyłych. W dali, za ich plecami, widział osiłków ze swojej gwardii domowej. Żaden nie dobywał broni. Czekali. On również czekał, zbierał się w sobie. W końcu usiadł w fotelu i przez kilka sekund kartkował książkę, którą wcześniej odłożył. Nagle odgarnął włosy opadające na czoło i zaczął:

– Słyszałem, że jesteś dobry, że nigdy się nie mylisz. I ucieszyłem się, kiedy zacząłeś badać ten straszliwy wypadek. Tym razem jednak nos cię zwiódł. Dwa lata

śledztwa, a ty przychodzisz do mnie? Bez motywu, bez dowodów? Będziesz wisiał, Mervilu. I ty również! – Wyciągnął upierścienioną dłoń w stronę młodego mężczyzny, który przyprowadził wojsko.

Ten skrzywił się i chciał coś odpowiedzieć, ale śledczy powstrzymał go:

– Nie teraz, Ginko.

Młodzieniec zmilczał, a Mervil ponownie zwrócił się do gospodarza:

– Nie doceniasz mnie, panie, jeśli myślisz, że niepotrzebnie niepokoję cię po nocy.

Hrabia ujął kielich, stojący na małym stoliku. Śledczy odczekał, aż skończy pić.

– Zacznijmy od motywu – powiedział. – Otóż był najprostszy z możliwych: zemsta za urażoną miłość własną i splamiony honor „potomka jednego z najstarszych rodów w tym księstwie, więcej, w tym kraju". I te właśnie dobra, panie, zostały poważnie narażone na szwank przez działanie Tiliana Muniusa i, pośrednio, twej szanownej małżonki. Wszak wiadomo, że połowica pana hrabiego jest osobą niezwykle hojną: dzieli się swymi wdziękami z tyloma mężczyznami, z iloma zdoła.

– Dość! – De Stern uderzył pięścią w oparcie fotela.

– Przysięgam, że ja z nią nie spałem! – dodał natychmiast śledczy.

Twarz hrabiego skamieniała. Mervil kontynuował:

– Jesteś, panie, tolerancyjnym mężem. Problem pojawił się jednak wtedy, gdy między jej nogi zawitał Tilian Munius i wszedł znacznie głębiej, niż pozwalałaby na to anatomia. Pani hrabina zakochała się bez pamięci,

o czym świadczą długie listy, wysyłane do kochanka. Pan hrabia zna zapewne ich treść. Oczywiście to wszystko nie wystarczyłoby jako motyw zabójstwa. Zdrady, miłostki, uwiedzenia są dziś powszechne. Niestety Tilian, chędożąc panią hrabinę, poczuł nad tobą przewagę, co zwykł ostentacyjnie manifestować w towarzystwie. Cóż, nieszczęściem Tiliana Muniusa było to, że jego roztropność nie dorównywała rozmiarom przyrodzenia (co ponoć jest regułą). Kiedyś, zapytany na forum przez dworskiego błazna, kim chciałby być, jeśli nie byłby mężczyzną, odparł: „hrabią de Sternem". Wiem, dowcip stary, ale sala pokładała się ze śmiechu.

Nie było cię przy tym, panie, ale z pewnością wiedziałeś o wszystkim. By więc oddalić od siebie podejrzenia, poczekałeś, aż romans się wypali, dałeś sobie jeszcze pół roku i kiedy wszyscy plotkowali już o czymś innym, zemściłeś się.

– Bzdura! – przerwał de Stern – Przecież Tilian spadł z konia, a ja byłem wtedy zupełnie gdzie indziej! Wszyscy o tym wiedzą! Skończ z tymi bredniami, z tą bluźnierczą retoryką. Powtarzam: nie było mnie wtedy w Nerolfie, na co mam świadków!

– Racz zauważyć, panie – przerwał śledczy – że to, gdzie byłeś, nie ma znaczenia. Jesteś przecież oskarżony o zlecenie zabójstwa. Zatem, kontynuując, Tilian uwielbiał wieczorne przejażdżki. Na jednej z nich, w lesie, jak powiedziałeś, nieszczęśliwie spadł z konia, złamał nogę i został rozszarpany przez wilki. Co ciekawe, wybrał drogę, którą nigdy nie jeździł. Dziwnym trafem postanowił o zmierzchu przedzierać się przez południowe

chaszcze pełne drapieżników, uzbrojony jedynie w lekki miecz.

– Może ufał, że odpędzi bestie swoim wielkim kutasem. Czego to wszystko dowodzi, pijawko? – rzucił hrabia i znów sięgnął po kielich. Kiedy zorientował się, że jest pusty, drżącą ręką odstawił go na stolik.

– Były jeszcze inne intrygujące drobiazgi, których odkrycie zawdzięczamy obecnemu tu, a biegłemu w medycynie, Ginkorowi. Otóż zauważył on, że pośród wielu ran szarpanych na ciele ofiary znajdowało się również zagadkowe poparzenie. Musisz bowiem wiedzieć, panie, że Tilian nie umarł z powodu ran zadanych przez wilki, lecz na skutek wprowadzenia do odbytu cienkiego, rozżarzonego prętu. Jakie jest prawdopodobieństwo, że w środku lasu coś takiego samo wbije się komuś w tyłek?

Mervil zamilkł, jakby oczekiwał, że hrabia odpowie na pytanie. De Stern milczał.

– No i jeszcze sprawa zwierząt. Otóż dokładny pomiar ran pokazał, że Tiliana wcale nie rozszarpały wilki, ale nieco mniejsze, aczkolwiek bardzo agresywne psy. Sądząc po zmiażdżonych kościach, była to rasa vira. Raczysz zgadnąć, panie, ile jest hodowli takich psów na terenie naszego księstwa?

– Nie mam pojęcia – wykrztusił de Stern. Jego palce nerwowo tańczyły na rzeźbieniach podłokietników.

– Tylko dwie! – wykrzyknął efektownie Mervil. – Tylko dwie! I tak po nitce dotarliśmy do kłębka. Mamy już zabójców, którym ty, panie, zapłaciłeś. Wszyscy się przyznali i czekają na łaskę stryczka. Niedługo egzekucja, której będziesz, hrabio, ozdobą. Chociaż, prawdę

mówiąc, z niektórych winowajców niewiele już zostało do powieszenia.

– To ty będziesz wisiał! – krzyknął hrabia, ale już bez przekonania. – Łatwo złapać kilku rzezimieszków, skatować ich i zmusić, by wskazali niewygodną dla księcia osobę – ciągnął drżącym z emocji głosem.

– Masz rację, panie. Proszę o wybaczenie, zapomniałem bowiem wspomnieć, co tak naprawdę zasugerowało nam, że ty jesteś sprawcą. Ze smutkiem stwierdzam, że byłeś bardzo nieostrożny, każąc sobie przynieść dowód popełnionej zbrodni – medalion rodu Avidionów, który Tilian nosił zawsze na szyi. Oczywiście, najpierw myślałem, że przepadł gdzieś w leśnej szamotaninie. Dziwnym trafem odnalazł się jednak w Nerolfie.

Oczy hrabiego zwęziły się. Był jak wąż, który za chwilę ma ukąsić.

– Przez te dwa lata musiałeś, panie, nieraz oglądać ów medalion, bo zwrócił uwagę jednego z twoich sług, który wykradł go i sprzedał złotnikowi. I tak krąg się zamyka.

Wilfred Konrad de Stern ukrył twarz w dłoniach, po czym zaczął pocierać kciukami skronie. Wyglądał na bardzo skupionego. Można go było wziąć za aktora, który szykuje się do finałowego monologu przed rozemocjonowaną publicznością. Zbytkowna szata, szeleszcząca przy każdym ruchu, tylko przydawała jego ruchom dramatyzmu.

– Zaraz zrobi fikołka, puści dym uszami i zniknie – zaśmiał się Ginkor. – No, kapitanie!

Nim zbrojni zdążyli podejść, w dłoni hrabiego pojawił się nóż, błyskawicznie wyjęty z rękawa. De Stern

skierował ostrze ku własnemu gardłu. Już, już miał przeciąć tętnicę, co uchroniłoby go przed publiczną hańbą, gdy zza pleców śledczego wystrzeliło coś ciemnego i jak zmora przywarło do mężczyzny. Po sekundzie na ziemi trwała już kotłowanina, a wielki orzeł unieruchamiał pazurami rękę niedoszłego samobójcy, wbijając w nią haczykowaty dziób.

– Dość! – krzyknął Mervil, gdy nóż zadźwięczał na marmurowej posadzce. – Podnieście go i opatrzcie.

Żołnierze natychmiast wykonali polecenie. Ptak, który nie był już tylko ledwie uchwytną dla oka strzałą, lecz materialnym kształtem, podfrunął miękko do śledczego i usiadł mu na przedramieniu. Zastygł w tej pozycji, tracąc zainteresowanie światem. Mervil położył dłoń na łbie ptaka, zadowolony, że jego towarzysz jak zwykle błyskawicznie zareagował na widok dobywanego ostrza.

– Zabierzcie go do aresztu i dajcie najlepszą celę – rzucił w stronę mężczyzn zajmujących się de Sternem. – Pilnujcie też, żeby się nie powiesił i żeby ktoś go nie wychędożył. Pachnie jak dziwka z burdelu mamy Letycji. Ja idę do księcia zameldować, co się tutaj stało.

Gestem przywołał Ginkora.

– Jutro obiad w Złotej Patelni. Bądź koło południa.

Młody mężczyzna skinął głową. Pożegnali się. Śledczy jeszcze przez kilka chwil rozglądał się po bibliotece, po czym wyszedł na świeże powietrze. Orzeł miękko oderwał się od jego przedramienia.

– Szukajcie sobie nowego zajęcia! – krzyknął Mervil do zgromadzonych w ogrodzie ludzi de Sterna, a widząc poruszenie, jakie wywołały jego słowa dodał: – Ale naj-

pierw odwiedźcie spiżarnię swego pana. Nie będzie jej już potrzebował. Słyszałem, że ma niezłą kolekcję win.

Ludzie rozbiegli się po ogrodzie. Aquil zataczał nad ich głowami szerokie koła.

O tej porze miasto było już wyludnione, chociaż latarnie świeciły jasno. Kroki Mervila dudniły na brukowanym, białym chodniku. Minął bogate, inkrustowane zielenią pałace arystokratów, a potem utonął w cieniu murów kopulastej katedry Terilusa Tronującego. Od czasu do czasu nocny patrol obrzucał go służbowym spojrzeniem, salutując na widok książęcego pierścienia.

W największym pałacu Nerolfu już czekano. Jak na ironię książę również przyjął go w bibliotece. Śledczy przyklęknął zgodnie ze zwyczajem.

– Daruj sobie wygiątwę. Co masz mi do powiedzenia?

Bellus wstał.

– Śledztwo w sprawie śmierci twego siostrzeńca, mości książę, właśnie się zakończyło, a ostatni winny, hrabia de Stern, został dziś zatrzymany.

– Ostatni winny. Zatrzymany. – Książę zamyślił się. – Miałem nadzieję, Mervilu, że będziesz mądrzejszy.

– Nie rozumiem, panie.

– Ależ rozumiesz doskonale. Mój ojciec cię szanował i ja cię szanuję. On jednak tolerował twoje kaprysy, które czasem mijały się z interesem Avidionów. Mnie przychodzi to coraz trudniej.

Książę podszedł bliżej i objął Mervila ramieniem. Byli równi wzrostem, lecz obszerna szata niemal podwajała Avidiona. Wydawało się, że książę zmiażdży Mervila w uścisku. On jednak tylko pchnął go nieco do przodu.

– Przejdźmy się kawałek, do mojego muzeum, bym mógł powiedzieć to, czego na pewno domyślasz się sam.

– Służę ci, mości książę – odpowiedział śledczy.

– Otóż, Mervilu, jestem ci wdzięczny za wyjaśnienie śmierci Tiliana, jednak aresztowanie hrabiego to już zupełnie inna sprawa. Wolałbym, by do niego w ogóle nie doszło, bo teraz muszę zorganizować proces. Trzeba będzie upokorzyć de Sterna przy ludziach. Ulica wyda na niego wyrok. Zrobi się niespokojnie. A to nie jest w tej chwili Nerolfowi potrzebne. Lepiej by się stało, gdyby sprawa de Sterna rozwiązała się dziś wieczorem, na oczach świadków, co byłoby dostatecznym przyznaniem się do winy. Spisałbyś tylko protokół i po sprawie.

– Zawiodłem cię, panie. Żałuję. – Śledczy skłonił się lekko.

– Gówno prawda, Mervilu! – Avidion porzucił nagle pojednawczy ton i nie krył dłużej zdenerwowania. – Znałeś moje zdanie, a i tak aresztowałeś hrabiego zamiast pozwolić mu na samobójstwo! Bo ty, Mervilu, wierzysz w prawo, publiczny proces i tego typu theatrum dla mas, a na taki luksus mogą sobie pozwolić tylko ci, którzy nie wiedzą, czym jest polityka!

– Wierzę w sprawiedliwość, panie, w nic innego. – Oczy Mervila wydawały się pozbawione wyrazu. – Nie faworyzuję publicznych procesów w jakiś szczególny sposób.

Książę chciał powiedzieć coś jeszcze, ale widząc zaciętą twarz śledczego, zrezygnował. Odwrócił głowę i począł wpatrywać się w obrazy wiszące na ścianach długiej sali. Na jej środku znajdowało się też kilkanaście

posągów naturalnej wielkości. Po dłuższej chwili Avidion podszedł do jednego z nich.

– Popatrz. Co sądzisz o tej rzeźbie? – zwrócił się do Bellusa, pieszczotliwie dotykając marmuru. – To młody artysta, Buo Tinarro, moim zdaniem wielki talent. W swoich pracach wykorzystuje motywy nawiązujące do dawno przebrzmiałych kultur i mitów. Tu na przykład mamy bardzo znane niegdyś przedstawienie matki trzymającej na kolanach umierającego syna.

Obaj przez chwilę wpatrywali się w dzieło, które zdawało się tak perfekcyjne, jakby prawdziwi ludzie w zwiewnych szatach na chwilę zastygli w marmurowym bezruchu.

– Ciekawe – zaczął Mervil. – Ta kobieta, która ma być matką, wygląda na młodszą od syna.

– Zauważyłeś. No właśnie, podąż za wizją artysty. Zwróć uwagę na granicę między tym, co realne, a tym, co fantastyczne. Cóż bowiem Tinarro chciał powiedzieć o matce, odmładzając ją w ten sposób?

– Nie wiem, panie. Wolę odczuwać sztukę, niż nad nią rozmyślać.

– Stwierdzenie niegodne byłego naukowca. Co cię zatem interesuje? – spytał Avidion.

– Prawda.

– A cóż to jest prawda?

– Kiedy byłem wykładowcą w Akademii, uczyłem, że zgodnie z poglądem Telestorysa prawdziwy sąd to taki, któremu odpowiada określony stan rzeczywistości.

– Piękna definicja, ale polityka nie może pozwolić sobie na luksus jej używania. Bo stan rzeczywistości

jest subiektywny, nie istnieje w jednym uchwytnym wymiarze. Dla mnie na przykład rzeczywistość to dobro Nerolfu. A nie sądzę, by aresztowanie de Sterna przysłużyło się naszej ojczyźnie. Będę miał kolejną trudną przeprawę z Radą, która zawsze narzeka, że jej prawa są gwałcone. Ty natomiast działasz zgodnie z abstrakcyjną idą sprawiedliwości. Każdy z nas ma swoją prawdę, a ja wymagam, byś zrozumiał moją, w przeciwnym razie nasze drogi się rozejdą.

Mervil już otwierał usta, by odpowiedzieć.

– Milcz, oszczędzę ci możliwości rozgniewania mnie jeszcze bardziej. Żegnam i pamiętaj, że definicja prawdy Telestorysa nie jest jedyną. Znasz z pewnością pracę Vellimachia, który pisał, że w zależności od potrzeb księstwa trzeba być lwem lub lisem.

– Znam, panie, ale jest to dzieło dla władców, nie dla śledczych. Ja wolę pewną starą rozprawę, w której napisano: „każdemu według zasług".

– Filozof – prychnął Avidion jakby do siebie. – Mam jednak nadzieję – zmienił temat – że wpadkę z de Sternem zrekompensujesz miastu szybkim ujęciem mordercy naszych kobiet. Hrabia Uvili pytał mnie dziś o postępy w śledztwie, a wiesz, że prócz wina i dziwek nic go nie interesuje. Przekonywał mnie, że sprawcą jest wampir. Pewnie usłyszał to od swojej kucharki, którą chędoży. A jakie jest twoje zdanie?

– Nie mam zdania. Pracuję nad tym, panie. Nawet teraz, podczas tej rozmowy.

Avidion patrzył przez chwilę w jego ciemne oczy, by w końcu poprawić na ramionach podbity futrem płaszcz

i zniknąć za ogromnymi drzwiami. Bellus nie ruszał się z miejsca. Sycił wzrok cudowną rzeźbą Buo Tinarro. Młodziutka i piękna matka trzymająca ciało dorosłego syna wyglądała, jakby nie tylko chciała umrzeć razem z nim, lecz całkowicie zjednoczyć się w cierpieniu. Genialny artysta przekuł jej spokojną mękę w estetyczną doskonałość. Śledczy był poruszony. Dobrze rozumiał tę matkę.

***

Mimo cierpkich słów Avidiona w domu Mervila czekał książęcy sługa z pokaźnym trzosem. Śledczy dał mu jedną z monet, po czym zaryglował drzwi i w ubraniu rzucił się na łóżko. Przespał całą noc bez snów. Wstał dość późno i leniwie przygotowywał się na spotkanie z Ginkorem. Mimo że mieszkał w dużym domu, nie miał służby. Oczywiście jeśli nie liczyć starej kobiety, która prała i sprzątała. Przemykała jednak po domu niczym duch. Czasem gospodarz nie widział jej tygodniami, co zresztą bardzo mu odpowiadało. Zwłaszcza gdy w dłużące się noce i dni odwiedzały go kobiety.

Zapinał właśnie ostatnie sprzączki wyjściowego kaftana, gdy usłyszał ciche pukanie w jedno z parterowych okien. Podniósł głowę, nasłuchując czujnie.

Trzy stuknięcia. Przerwa. Dwa stuknięcia, przerwa.

Aquil wleciał przez otwarte okno i wzbił się pod sklepienie. Nie wyglądał na zaniepokojonego. Bellus nasłuchiwał jeszcze przez chwilę, łowiąc schematyczny stuk. Zszedł na dół i uchylił piwniczny lufcik. W chaszczach

gęstego, niepielonego od dawna ogrodu krył się drobny człowieczek w kapturze. Śledczy nie musiał widzieć twarzy przybysza, znał go od lat. Pino był kieszonkowcem, którego łatwo można było pomylić ze zbłąkanym szopem. Mervil przymykał oko na jego kradzieże. Ściganie go zostawiał miejskim strażnikom. Książęcego śledczego interesowały wyłącznie zabójstwa.

– Panie, tej nocy znowu widziano wampira – zaczął złodziejaszek.

– Gdzie?

– W dzielnicy garncarzy.

– To już drugi raz.

– Tak, panie, tam jest dość ciemno, wąskie, długie uliczki. Dobre miejsce do polowania – szeptał przejęty Pino.

– Ale nie ma ofiar? – Mervil zawahał się.

– Nie, panie.

– Czy straże o tym wiedzą?

– Panie, ludzie się boją. Mówią, że jak wampir się dowie, kto doniósł, to… – Pino przejechał dłonią po gardle.

– A ty się nie boisz?

– E tam, lichwiarz Sitkun to jest dopiero wampir. Zresztą czy ja wyglądam jak młoda dziewczyna? We mnie więcej gorzałki niż krwi.

Mervil rzucił Pinowi monetę i bez słowa zamknął okno. Słońce prześwietlało piwniczny kurz strunami promieni. Bellus poczuł wzbierającą nienawiść: oczekiwany i dobrze znany stan, sprawiający, że odnajdywał w życiu sens. Pino dał mu nowy punkt zaczepienia. Od

dwóch miesięcy bowiem w różnych dzielnicach miasta znajdowano młode kobiety, które miały na szyi wyraźny ślad zębów, a ich ciała częściowo pozbawione były krwi. Ginkor zbadał ugryzienia. Nie pasowały do żadnego ze znanych zwierząt. Nie pomagały wzmożone patrole straży. Plotki mieszały się z faktami, a sprawca pozostawał nieuchwytny. Miasto bało się coraz bardziej.

Mervil wyszedł z domu i skierował się ku bogatej dzielnicy handlowej, gdzie mieścił się zajazd Pod Złotą Patelnią. Ziemisty płaszcz, okrywający jego szczupłą sylwetkę, krótko obcięte włosy i dwudniowy zarost sprawiały, że nie wyróżniał się z barwnego tłumu. W pulsującym życiem mieście, gdzie roiło się od cudzoziemców, obdarzano go najwyżej przelotnym spojrzeniem. Zbliżając się do rynku, śledczy już z daleka dostrzegł niezwykłe jak na tę porę zgromadzenie. Po chwili dobiegł go głos, który cały Nerolf, a pewnie i cała Latilia znały aż nazbyt dobrze: głos Proroka. Nie wiadomo, skąd przybył, kim był, ale regularnie od trzech miesięcy co tydzień nawiedzał miasto z tym samym przesłaniem:

– Strzeżcie się, grzesznicy, prostujcie swoje ścieżki, bo Żniwiarze są już wśród was! Nie widzicie ich, nie słyszycie, dlatego przywiodą was do zguby. Czyńcie pokutę, mówię! Brat niech przebaczy bratu, mąż żonie. Posypcie głowy popiołem, bo Żniwiarze przybyli i nie ma dla świata ratunku.

Prorok miał w sobie jakąś tajemniczą siłę. Sprawiał wrażenie, jakby mówił całym ciałem. Sylwetka skryta w postrzępionej szacie zdawała się falować. Jego krzyk porywał, jak tragedia w teatrze. W słowach wybrzmie-

wały cierpienie, rozpacz, klęska: wszystko, co raz w tygodniu mogło podniecić ludzi zadowolonych z życia. Targana wiatrem siwa broda dodawała jego występom polotu i dramaturgicznej głębi. Mervilowi wszakże wydawał się przesadzony, a jego autentyczność udawana. Straże traktowały go na razie jak ulicznego komedianta. Dopóki nie podburzał Nerolfczyków, mógł krzyczeć swoje.

Bellus skrzywił się, słysząc słowa o Żniwiarzach. Lubił teatr, lecz drażniła go taka wiecowa tandeta. Przyspieszył kroku:

– …i pochłonie was, grzeszników, wieczny ogień piekielny, od którego nie ma odpoczynku. Dowiecie się prawdy o sobie, bo ta prawda tkwi w Żniwiarzach, a oni są już pośród was. Widzieliście ich rano, zobaczycie ich wieczorem, zaśniecie w ohydzie własnych występków. Dlatego powiadam wam, proście o miłosierdzie, a będzie wam dane!

Prorok zakaszlał, zadławiony własnym krzykiem, a tłum zaczął powoli rzednąć. Ludzie przeżyli darmowe katharsis i wracali do pracy. Niektórzy uśmiechali się, kręcąc głowami i pogryzając cukrowane owoce.

Pokaźna grupa słuchających wciąż stała przy wozie, z którego przemawiał starzec, i chyba wdała się z nim w rozmowę. Jak na ironię po ich lewej stronie wznosiła się dumnie figura Ozidona – boga dobrej zabawy, który cieszył się w Nerolfie największą popularnością. Na myśl o Ozidonie Mervil poczuł, jak bardzo jest głodny. Nauki boga mówiły jasno, że szczęście to przede wszystkim wyborne jedzenie i suty napitek. Śledczy w jednej chwili zapomniał o Proroku.

Wkrótce siedział już przy szerokim stole i zastanawiał się, na które z dań ma największą ochotę. W końcu postanowił, że zamówi tylko wino i lekką zupę, a z dalszymi decyzjami wstrzyma się do przybycia Ginkora. Zawsze prowadził surowy tryb życia, a rozkosze podniebienia nie należały do jego namiętności. Ginkor zwykł żartować, że były dni, kiedy Mervil nie poznałby, że zamiast sztuki mięsa podano mu podpieczone końskie siodło. Teraz zdążył wypić prawie pół butelki, kiedy w końcu do zajazdu wkroczył młodszy mężczyzna. Jego twarz promieniała. Dosiadł się i od razu chwycił flaszkę. Grdyka skakała mu to w górę, to w dół. Mervil, nie kryjąc znudzenia, błądził oczami po ścianach zajazdu pełnego wspaniałych myśliwskich trofeów. Tymczasem Ginkor, ugasiwszy pragnienie, otarł usta wierzchem dłoni i beknął wesoło.

– Zanim usiadłeś do wina, mogłeś napić się deszczówki z beczki przed wejściem. Jest tańsza i lepiej gasi pragnienie – zaczął śledczy.

– Gadanie! Słuchaj, Navida zaprosił mnie dziś do swojej pracowni. Spędziłem tam cały ranek!

Nazwisko artysty i wynalazcy Lorenzo Navidy wypowiadano w Nerolfie z mieszaniną podziwu i rezerwy. Krążyły plotki, że buduje maszyny latające, a jego rzeźby mają w środku mechanizmy i zachowują się jak ludzie.

– Mervilu! – kontynuował Ginkor. – Jakież rzeczy mi pokazał! Nawet nie zdajemy sobie sprawy, ile ten człowiek wie na przykład o świetle. Jego głowa jest więcej warta niż cała Akademia.

Bellus uśmiechnął się. Dwadzieścia lat temu też był pełen takiego zapału.

– Wyobraź sobie, że zaproponował mi badanie ludzkiego oka. – Ginkor przezornie ściszył głos. – Nie wiem, skąd miał ich kilkanaście. Najpierw pokazał mi rysunek, a potem zasugerował, byśmy jedno pokroili. A ja mówię, że przecież się rozpadnie. Navida spojrzał tylko i najzwyczajniej w świecie odparł: „dlatego najpierw je ugotujemy".

Trudno było przerwać potok słów medyka. Mervil słuchał więc spokojnie szczegółowej relacji, spoglądając na przystojną, ruchliwą twarz mężczyzny. W takich chwilach jego myśli mimowolnie uciekały ku przeszłości, ku synowi, którego zawsze pragnął.

– …taki system potrójnych luster mógłby się nam przydać… ale czy ty mnie w ogóle słuchasz? – obruszył się medyk, widząc zamyślenie na twarzy współbiesiadnika.

– Tak, słucham cię. System luster.

Ginkor westchnął. Wiedział, że nie zdoła zarazić Mervila swoim entuzjazmem.

– Dobra, już skończyłem – powiedział, opadając na oparcie ławy, z udawanym smutkiem.

– Mów, proszę, słucham uważnie.

Ginkor opowiedział mu o więc lustrach, potem o łatwopalnym proszku i o martwej żabie, która rusza nogami, gdy ją dotknąć tu i ówdzie. Kiedy skończył, osuszył drugą butelkę zamówioną w międzyczasie przez Mervila i spytał:

– Jak tam wizyta u księcia?

Śledczy nie chciał zagłębiać się w meandry humorów Avidiona, toteż położył tylko na stole połowę książęcej zapłaty.

– No, to rozumiem. – Ginkor zważył trzos w ręku. – Możemy się teraz kłócić, kto stawia.

– Niech będzie, że ja.

– Cóż, nie wypada sprzeciwiać się starszemu. A swoją drogą wczoraj u de Sterna dałeś niezły popis oratorski. Wciąż masz w sobie coś z belfra. – Medyk mrugnął porozumiewawczo.

Mervil skrzywił się:

– Nie tylko, mój drogi, nie tylko. To było klasyczne „zatrzymanie z dowiedzenia". Mnóstwo świadków, czysta sprawa. Poza tym zjednaliśmy sobie ulicę. No i ostatnia rzecz: ludzie wysoko postawieni nie wyobrażają sobie, by dramatyczne momenty w ich życiu działy się ot tak, w sposób pospolity. Hrabia zasłużył sobie na wydłużenie momentu poznania prawdy o własnym upadku. Życie to teatr, Ginkorze, a ja miałem ochotę przez chwilę zagrać bardziej dramatycznie. Takie przetrzymanie punktu kulminacyjnego nazywamy retardacją.

– Dziękuję, doktorze Bellus – odparł Ginkor, umiejętnie naśladując uniżony, studencki ton. – Ty mówisz, że życie to teatr, jeden kolega, że wychodek, a mój ojciec mawiał, że życie jest jak sklep.

– Dlaczego jak sklep? – zdziwił się Mervil.

– Nie wiem, bo kiedy upalony fajką staruszek zaczynał te swoje umoralniające wywody, ja dyskretnie wychodziłem. Sygnałem do tego były zawsze słowa: „posłuchaj, mój synu", wypowiadane głębokim, nosowym tonem – tu Ginkor zatkał nos i zaczął: – „Posłuchaj, mój synu, życie jest jak sklep…".

Medyk przerwał swój popis, bo na stole pojawił się świetnie przyprawiony gulasz z dzika. Służebna dziewka nie zaszczyciła ich nawet spojrzeniem.

– Dziękujemy pięknej pani – zaczął Ginkor, ale jej już nie było.

Za to nad stołem unosił się zniewalający zapach.

– W sumie dobrze, że zatrudniają gburowate dziewczyny. Można się skupić na jedzeniu – podsumował.

– Myślę, że to przemyślana strategia – odpowiedział Mervil z pełnymi ustami.

Zabrali się za gulasz, a łby zwierząt na ścianach przyglądały się im z filozoficznym spokojem. Kiedy skończyli, Mervil postanowił podzielić się z przyjacielem ostatnimi wiadomościami.

– Wczoraj w dzielnicy garncarzy widziano wampira.

– A w dzielnicy szewców trzy smoki – odparł podochocony winem medyk.

– Bardzo śmieszne. Ginko, skup się. To nasza sprawa.

– Przepraszam.

– Zginęły już cztery kobiety, nie muszę ci chyba o tym przypominać?

Ginkor spoważniał:

– Naprawdę wierzysz, że to wampir? – spytał z nutą kpiny w głosie.

Na dźwięk ostatniego słowa podróżna przy sąsiednim stole spojrzała na nich trwożnie.

– Nie wiem – ściszył głos śledczy – ale dopóki nie sprawdzimy, nie będziemy mieli pewności. Mam plan, choć nie sądzę, by ci się spodobał.

– Pewnie będę przynętą? – zasępił się medyk.

– Ja jestem za wysoki. A ty świetnie się nadasz na dziewczynę o obfitych kształtach. Zarostu też za bardzo nie masz.

– Ejże! Zapuściłbym brodę, gdybym chciał.

– Nie wątpię – odparł śledczy z przekąsem, po czym znów spoważniał. – Nie musisz się martwić, będziemy z Aquilem śledzić każdy twój krok.

– Co do ciebie, jestem pewien, ale kto wie, co chodzi po głowie twojemu ptaszysku.

– To nie jest moje ptaszysko. Po prostu razem mieszkamy.

– Ale banał. Tylko się nie rozklejaj. Ptak to ptak: sra w locie i tyle. Jaki jest ten plan?

– Dajemy sobie czas na przygotowania do jutrzejszego wieczora. Oczywiście najpierw biblioteka i wszystko na temat wampirów. Potem przebierzesz się za kobietę i przejdziesz nocą przez dzielnicę garncarzy. Będziemy to powtarzali, aż go przywabimy. Chyba że pokaże się gdzie indziej. Choć to mało prawdopodobne. Sądzę, że wczoraj badał teren kolejnego ataku. Aquil i ja będziemy tuż za tobą. Nie wyobrażam sobie, żeby wampir dał radę nam trzem, zwłaszcza że uzbroimy się po zęby.

– Chyba po dzioby. Oczywiście nie angażujemy straży, żeby nie przepłoszyć zabójcy?

– Oczywiście.

– Dobrze, niech ci będzie. Pożyczę jakieś ciuchy od siostry. Tylko jeśli komuś powiesz… – Ginkor pogroził palcem.

– Jeszcze jedna butelka? – przerwał Bellus.

– Jasne!

– Żartowałem. Czas do pracy.

Bellus zapłacił rachunek i skierowali swe kroki ku bibliotece Akademii Książęcej. Idąc przez gwarne ulice, wyglądali dość osobliwie. Mervil, wyższy o głowę

od swego krępego towarzysza, zdawał się płynąć. Ginkor natomiast szedł, kołysząc się z boku na bok i co chwila zezował za co ładniejszymi pannami. Niemal wszystkie odpłacały uśmiechem krępemu, przystojnemu medykowi. W końcu wyrósł przed nimi majestatyczny, trzechsetletni gmach Akademii. Wchodząc, ukłonili się odźwiernemu, który znał ich na tyle dobrze, by o nic nie pytać. Na dziedzińcu wyłożonym kamiennymi płytami zobaczyli kilkunastu studentów, którzy obsiedli drewniane ławy i grzali się w słońcu. Przybycie nieznajomych rozbudziło ich nadzieje na kubek wina. Podeszli, hałaśliwie oferując swoje usługi medyczne bądź pisarskie. Jeden obiecywał nawet, że za szeląga powie nowo przybyłym, jak być szczęśliwym. Na pytanie Ginkora, czy sam wypróbował już swój przepis, odpowiedział dumnie, że pociąga go teoria, nie praktyka.

– Dupczy też w ten deseń – podsumował jeden z kolegów filozofa i kompania żaków wróciła na ławy ustawione wokół dziedzińca.

– Witam, doktorze Bellus. – Usłyszeli nagle za plecami.

Mervil odwrócił się i ujrzał maleńkiego człowieczka dźwigającego dwa wielkie, oprawione w skórę tomy.

– Witam, doktorze Strazi. – Ukłonił się Mervil i było widać, że cieszy się z tego spotkania. – Myślałem, że jest pan na Uniwersytecie Inolbskim.

– Byłem, ale zbadałem już tamtejsze zbiory dotyczące wojen granicznych Nerolfu w XIV wieku. To bardzo ważne zagadnienie, stanowiące punkt wyjścia do analizy dzisiejszej sytuacji politycznej.

– Dawno pan wrócił, doktorze?

– Jakiś tydzień temu. A teraz porządkuję papiery. Już czas, bym zrobił sobie przerwę. Wybieram się na kubeczek wina. Może pan, doktorze, i pański młody przyjaciel dołączycie do mnie?

– Będzie to dla nas prawdziwa przyjemność – odpowiedział natychmiast Bellus, udając, że nie zauważa pytającego spojrzenia Ginkora, którego znudzona mina uszła uwagi Straziego.

– Ale mieliśmy przecież… – zaczął medyk.

– Spokojnie, trzy czwarte biblioteki Nerolfu znajduje się w głowie doktora Straziego.

– No, może dwie trzecie – mitygował staruszek, ale widać było, że komplement przypadł mu do gustu.

Kwatera nobliwego wykładowcy mieściła się w jednym z budynków położonych w pięknym ogrodzie za ogromnymi murami Akademii. Obejmowała pięć pokoi, a każdy z nich wyglądał jak pracownia, był pełen książek i map. Ginkora zdziwiło, że nigdzie nie może dostrzec łóżka.

– Gdzie on sypia? – szepnął.

– Gdzie się da – odparł również szeptem Mervil.

Mężczyźni usiedli przy mocnym drewnianym stole, a doktor Strazi nalał wina. – Wciąż mamy nadzieję, że pan do nas wróci, doktorze Bellus – powiedział, delektując się pierwszymi łykami. – Zwłaszcza że znaleziono nowe dokumenty, zmieniające nieco naszą wizję panowania Orena I. Pan się tym zajmował, prawda?

– Tak, ale czas przeszły jest tu na miejscu. Mój powrót nie jest możliwy. Za bardzo przywykłem do stosowania wiedzy w praktyce, a tutaj to bardzo trudne.

– Cóż, rzeczywiście. My, historycy Akademii, jesteśmy tylko strażnikami. Pilnujemy mądrości i w miarę możliwości staramy się ją pomnażać. Jednak boleję nad tym, że tak rzadko przychodzą do nas politycy, tak rzadko się nas radzą. Szczególnie w dobie kryzysów. Oni wciąż myślą, że ich czas, ich wybory czy problemy są unikalne, a przecież wszystko już było.

– Przepraszam, doktorze – Ginkor nie wytrzymał – ale czy nasi przodkowie nie działali jednak w nieco innych warunkach?

– Oczywiście, że nie, młodzieńcze. – Strazi ucieszył się z zadanego pytania i najwyraźniej poczuł jak na wykładzie. – Ze studentami gram w taką grę: proszę ich o podanie jakiegokolwiek współczesnego wydarzenia: posunięcia władcy, konfliktu zbrojnego, po czym natychmiast znajduję jego odpowiednik w przeszłości. Zaręczam, że jeszcze nigdy nie przegrałem.

– Dlaczego więc politycy tu nie przychodzą? – dopytywał Ginkor.

– Może dlatego – odezwał się Mervil – że drzwi do pracowni naukowca są tak niskie, iż wchodząc, trzeba się ukłonić. Niestety, u większości rządzących głowa opada tylko na szafocie.

Mężczyźni zaśmiali się.

– Zgrabnie powiedziane. Ale, jak widzę, ten problem was nie dotyczy. Przyjęliście moje zaproszenie, a wcześniej udawaliście się, jak mniemam, do biblioteki. Może ja mógłbym w czymś pomóc?

Śledczy najwyraźniej tylko na to czekał.

– Doktorze Strazi – zaczął ostrożnie – zapewne słyszał pan o dziewczętach zamordowanych w ciągu

ostatnich miesięcy. Zbrodniarz pozostawia na ciele ofiar dość charakterystyczne ślady. Nie chcę, by zabrzmiało to niedorzecznie, ale ślady te sugerują, że mamy do czynienia z kimś, kto pije krew swoich ofiar. Ma dwa długie kły. Świadkowie mówią, że z daleka przypomina człowieka.

Bellus czekał przez chwilę na reakcję rozmówcy, lecz doktor Strazi wpatrywał się w niego z niesłabnącym zainteresowaniem. Kontynuował więc:

– Nie chcę powiedzieć, że wierzę w wampiry, jednak moją zawodową powinnością jest przygotowanie się na każdą, nawet najbardziej nieprawdopodobną ewentualność, jeśli tylko sygnalizują ją dowody.

– Doktorze Bellus – staruszek aż się zarumienił – oto postawa godna wychowanka i wykładowcy tych murów! Myślę, że dobrze trafiliście. Bo chociaż ja również zachowuję w sprawie wampirów daleko idący sceptycyzm, to kilka lat temu wygłaszałem odczyt dotyczący ciemnej mitologii latiliańskiej, w którym sporo miejsca poświęciłem tym właśnie istotom. Chętnie podzielę się wiedzą, gdyż oszczędzi to wam wertowania dziesiątek ksiąg.

Mervil i Ginkor przytaknęli w milczeniu, nie chcąc przerywać doktorowi Straziemu, który najwyraźniej dopiero się rozgrzewał:

– Dysponuję materiałem, o którym mógłbym mówić przez kilka godzin, ale ograniczę się do niezbędnych informacji. Otóż, jak powszechnie wiadomo, wampiry, czy jak mawia gmin: wąpierze, to istoty pijące ludzką krew. Tu przekazy są zgodne. Opowieści o ich pochodzeniu mają tak wiele różnych wersji, że nie warto o tym wspominać. Podobnie jest z wyglądem: wampiry bywają

brzydkie i nieludzkie, chamskie i grubiańskie lub nieziemsko piękne, mądre i czarujące. Jedne kopulują jak szalone (choć nie wiadomo, po co), inne są impotentami. Warto też wspomnieć o problemie zmiennokształtności: mogą zmieniać się w nietoperze lub szczury.

Spotkałem się też z opowieściami o tym, że wąpierze posiadają moc wpływania na ludzi. Ponadto są silniejsze, sprawniejsze i dużo wytrzymalsze od człowieka. Można je zniszczyć, obcinając głowę, przebijając serce drewnianym kołkiem, spalić, wystawić na działanie światła słonecznego. Szczególnie nieprzyjemne są dla nich czosnek i srebro oraz symbole niektórych religii (jak utrzymują wyznawcy).

Z waszych min wnoszę, że nie powiedziałem niczego nowego. W istocie jednak mitologia wampiryczna obfituje w bardzo wiele wzajemnie wykluczających się elementów, co w dużej mierze każe być sceptycznym co do istnienia tych stworzeń. Weźmy na przykład problem rozmnażania. W większości podań jedno ugryzienie decyduje o przemianie. Kompletny nonsens! Jeśli tak byłoby w istocie, krwiopijcy szybko straciliby główne źródło pokarmu. Osobiście uważam, że termin „wampir" oznacza rodzinę, w obrębie której możemy wyróżnić szereg gatunków. Jednak, jak powiedziałem, według mnie stworzenia te są tylko elementem zbiorowej wyobraźni.

– Szkoda, że trupy pogryzionych kobiet są prawdziwe – wtrącił zgryźliwie Ginkor.

– Doktorze – Mervil natychmiast przejął inicjatywę – czy powinniśmy wiedzieć o czymś jeszcze?

– Chodzi o ciekawostki? Otóż jest cała osobna gałąź piśmiennictwa, dość młoda, ale wpływowa, mówiąca

o wampirach gustujących w niewiastach. Według tej teorii miłość bierze górę nad chutliwością i apetytem na krew. Wąpierz taki jest niezwykle piękny, mami białogłowę, a ta opuszcza swoją rodzinę i z nim ucieka.

– I co taki stwór robi z tą babą? – zaciekawił się medyk.

– Głównie patrzy.

– Jak to?

– No, może trochę upraszczam. W zasadzie to karmi, ubiera, trefi włosy, przygrywa na fujarce, tańcuje, recytuje poezje, opowiada, jaka jest piękna. Słowem, chce, żeby była szczęśliwa. Czytałem, że teraz po wsiach, jak kobieta znika, to mówią, że się na nią wąpierz zapatrzył i zrobił z niej królową. Ponoć każda o takim marzy. Bo on ani pić, ani jeść nie musi. Miłością tylko żyje. Istny, powiadam wam, cudak. Niegroźny, dopóki ktoś inny mu niewiasty nie wychędoży.

– Dziękujemy, że tak zacny umysł znalazł dla nas chwilkę. – Bellus ukłonił się, dodając: – Dość już o naszej pracy. Jako że rzadko tu goszczę, chętnie usłyszę, nad czym obecnie pracujesz, panie. Brak mi tego źródła, z którego piłem tak obficie.

Ginkor rzucił przyjacielowi mordercze spojrzenie. Po chwili Mervil również pożałował swojego pytania, zadanego na złość medykowi. Doktor Strazi bowiem mówił przez następne półtorej godziny. I tylko wykształcenie historyka pozwoliło śledczemu nie zasnąć i nadążyć za szeregiem dat i nazwisk, którymi zarzucał go stary uczony. Ginkor nie był tak odporny, toteż po kilkunastu minutach jego głowa uderzyła o stół.

– Proszę nie przerywać, doktorze Strazi. Za dużo wina, a on ma bardzo słabą głowę.

Niepotrzebnie to powiedział. Sędziwy historyk tak zatracił się w wywodzie, że nawet go nie usłyszał.

– Jednak było warto – uśmiechnął się Ginkor, kiedy opuszczali Akademię. – Nie będziemy musieli przychodzić tu ponownie. A poza tym dobrze przespać się po obiedzie.

Przeciągnął się.

– Co zrobimy z zaoszczędzonym popołudniem?

– Poćwiczymy.

Medyk splunął:

– Koszary? Znowu?

– Ile razy mam ci tłumaczyć, że w naszym zawodzie sprawność umysłu to nie wszystko. Nie zawsze jest z nami miejska straż – napominał Bellus. – Siły ci nie brakuje, ale wciąż musisz pracować nad techniką. Ktoś wprawny w walce zabiłby cię z łatwością.

– Jeszcze takiego nie spotkałem – odparł kwaśno Ginkor.

– Jak spotkasz, nie będziesz mógł mi o tym opowiedzieć.

Do koszar było niedaleko. Poobiednia ociężałość już ich opuściła. Szli więc lekkim krokiem i omawiali szczegóły wieczornej zasadzki. Przekraczając bramę, pozdrowili strażników i skierowali się na sam koniec placu, gdzie zwykle ćwiczyli. Najpierw weszli do jednego z budynków, by założyć ochronne napierśniki i hełmy. Wybrali drewnianą broń. Bellus jak zwykle wziął krótki miecz i sztylet, Ginkor natomiast jedno cięższe i dłuższe ostrze. Kiedy stanęli naprzeciwko siebie, medyk mrugnął:

– O wino?

– Gdybyś wywiązywał się z tych zakładów, byłbym już pijakiem – odpowiedział śledczy.

W tym momencie młodszy mężczyzna zaatakował. Drewniane ostrza Bellusa wirowały z taką szybkością, że ledwo było je widać. Przy tym doskonale pracował na nogach i balansował tułowiem. W jego akcjach trudno było dopatrzeć się wzorca, zupełnie jakby cały czas improwizował. Takiej ruchliwości brakowało Ginkorowi, toteż gdy po chwili przerwali, medyk usłyszał kilka cierpkich słów:

– Przebiłem ci serce, odciąłem rękę i nogę, a poza tym prawie poderżnąłem gardło. Ginkorze, nie możesz atakować w linii prostej. Walka nie polega na tym, by przeć nieustannie do przodu. Jeszcze raz!

Przez kilkadziesiąt minut mężczyźni zmagali się w popołudniowym słońcu, obserwowani przez ćwiczących żołnierzy. Niemal wszyscy ich tu znali. Jako zawodowcy szanowali to, że Bellus mimo swych ponad czterdziestu lat wciąż zachowuje świetną formę, ćwicząc regularnie kilka razy w tygodniu. Nierzadko, kiedy Ginkor nie mógł przyjść, prosił jakiegoś młodego żołnierza o pomoc, a ten ze zdziwieniem odkrywał, że sam może się wiele nauczyć.

– Dobra, mam dosyć! – przerwał nagle zasapany Ginkor.

– Jeszcze chwila. Prawdziwa nauka zaczyna się dopiero, kiedy jesteś zmęczony. Nie sztuka walczyć w pełni sił.

Mervil odrzucił broń i szybkim chwytem założył Ginkorowi duszenie. Ten próbował się oswobodzić.

– Spójrzcie! – dobiegł ich głos. – Ćwiczą, jak uwolnić się od kobiety, kiedy ta zechce pocałować któregoś z nich. Oni są… no wiecie.

Po tych słowach ćwiczący usłyszeli salwę śmiechu. Przerwali i spojrzeli w stronę, skąd dobiegały głosy. Na

plac z koszarowych budynków wysypała się grupa mężczyzn w skórzanych kaftanach. Szli w stronę Mervila i Ginkora.

– Bellus! – kontynuował ten sam głos, który, jak się okazało, należał do barczystego brodacza. – Jedna dziwka mi mówiła, że trzeba się z tobą sporo napracować. Pewnie wszystko wychodzi ci lepiej z tym chłopcem!

Ginkor ruszył w stronę mówiącego. Mervil chwycił go za ramię.

– Daj spokój.

– Dlaczego?

– Daj spokój! Jego brat siedzi za morderstwo. Ja go posadziłem. Niech się wykrzyczy. Dość już tych ćwiczeń, chodźmy się przebrać.

Zebrawszy ochraniacze i drewnianą broń, skierowali się do budynku nieopodal. Tam przebrali się i zostawili ćwiczebny sprzęt. Kiedy wyszli, tamci zagrodzili im drogę. Najwyraźniej nie byli usatysfakcjonowani przebiegiem zaczepki. Było ich ośmiu, na czele z drabem, któremu wciąż nie znikał z twarzy szyderczy uśmiech.

– No to jak? Dacie sobie buzi, przyjemniaczki? Zróbcie to, a was puścimy.

Ginkor aż trząsł się ze złości i bezsilności. Wiedział, że nie mają szans z ośmioma wprawionymi żołnierzami. Jednak wzorem Mervila stał i milczał.

– Bellus, a może ty w ogóle nie możesz? Słyszałem, że żona cię zostawiła, bo nie chciał ci stanąć. Mogłeś przyprowadzić ją do mnie, ja bym jej pokazał, co to znaczy mieć chłopa.

Nim wybrzmiały ostatnie słowa i nim ktokolwiek zdążył zareagować, Mervil znalazł się przy mówiącym

i chwyciwszy go za kaftan, z całej siły uderzył głową w twarz. Dał się słyszeć chrzęst łamanego nosa i wybijanych zębów. Nim ciało osunęło się na ziemię, śledczy już trzymał w rękach dwa lśniące ostrza – nóż i krótki miecz. Położył stopę na krtani leżącego, a miecz skierował w stronę osłupiałych mężczyzn. Cofnęli się. Żaden z nich nie miał broni.

– Komuś jeszcze marzy się kalectwo?

Odpowiedzią było głuche milczenie.

Kiedy pozbawiony dopływu powietrza żołnierz zemdlał, śledczy zdjął nogę z jego gardła. To jednak nie był koniec. Mervil z wprawą przydepnął rękę leżącego i obciął mężczyźnie mały palec. Oczy żołnierzy niemal wyskoczyły z orbit.

– Ty skurwysynu! – Jeden z nich ruszył do przodu.

W tym momencie nóż wzbił tuman kurzu, wbijając się w ziemię tuż przed jego stopą. Mężczyzna stanął. Mervil już trzymał w ręku kolejne małe ostrze. Nie opuszczał też miecza. W jego oczach czaiła się groźba.

– Czy to ja go zaczepiłem?

Odpowiedziała mu cisza.

– Czy to ja go zaczepiłem?! – krzyknął.

– Ale on był nieuzbrojony! – rzucił gniewnie jeden z towarzyszy leżącego.

– Skoro przyszedł rozmawiać o mojej żonie, to powinien był się uzbroić.

Mężczyzna chciał jeszcze coś powiedzieć, ale ton śledczego najwyraźniej pozbawił go odwagi.

– Będziecie robić nam kłopoty? – spytał Mervil, a nóż błyszczał między jego palcami.

Żołnierze bez słowa odwrócili się i, wziąwszy rannego, ruszyli w stronę szpitala. Mervil, nie patrząc za siebie, skierował się do bramy. Oszołomiony Ginkor podążał za nim.

Pętle pamięci
Copyright © Marcin Kowalczyk
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Robert Rajszczak
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2017 r.

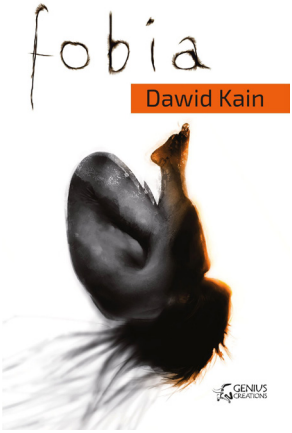
druk ISBN 978-83-7995-137-6
epub ISBN 978-83-7995-138-3
mobi ISBN 978-83-7995-139-0

Redakcja: dr Marta Kładź-Kocot
Korekta: Aleksandra Ślósarek
Ilustracja i projekt okładki: Robert Rajszczak
Skład i typografia: Marcin A. Dobkowski | www.proAutor.pl
Redaktor naczelny: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl



Fobia
Dawid Kain

Bliska przyszłość, w której ludzie zasłonili sobie świat nakładkami nowej sieci – Immersjonetu. Żyją w gigantycznych kompleksach mieszkalnych, z całodobową obsługą dronów i botów.

Magdalena Kordowa musiała porzucić studia i znajomych, by zaopiekować się ojcem – pisarzem, który postradał zmysły w pogoni za arcydziełem. Ten pewnego dnia zniknął, zostawiając po sobie jedynie ostatnią powieść, „Kres Komunikacji" skrywającą wskazówki dotyczące swojej niewytłumaczalnej ucieczki.

„Czy Magda rozwiąże zagadkę i odnajdzie ojca mimo obezwładniającego ją lęku? Fobia to zaskakująca powieść, w której z każdą kolejną stroną treść kształtuje formę i na odwrót. Kain nie potrzebuje reklamy, wystarczy, że po raz kolejny udowadnia, że jego wyobraźnia nie zna granic."
Aleksandra Zielińska, autorka powieści „Przypadek Alicji"

„Literatura ciężka jak neuroleptyk, Polska pod rządami bestii i pudełko pełne niczego. Trzymacie w swoich rękach ważną książkę. Jest dowodem na to, że przekraczanie gatunkowych ram to jedyna droga, by nazwać czerń przelewającą się w środku, a przynajmniej – spróbować to zrobić. Bo mierzyć się z lękiem przed nicością i nie zwariować, nie upaść w nicość, to przecież prawie niemożliwe."
Cezary Zbierzchowski, autor „Requiem dla lalek" i „Holocaustu F"

https://geniuscreations.pl/ksiazki/fobia-dawid-kain/



Vivo
Istvan Vizvary

John Lennon ma sto dwadzieścia lat i komponuje piosenki wyłącznie dla bogatej, pięknej i szaleńczo w nim zakochanej kobiety. Alfred Ulver, psychiatra hochsztapler, utrzymuje się głównie z pracy swojego cyfrowego klona i sesji cochingowych. Lizę Trommer, skromną krawcową, odwiedza w domu dawno zmarły ojciec, który uciekł z Forever, wirtualnego świata spokojnej starości.

Alskopp, dumny i potężny król smoków Drumloftu, wydał ostatnie tchnienie na londyńskiej Tottenham Court Road. Uderzenie skrzydeł motyla może zmienić losy świata. Upadek smoka zmienia, i to diametralnie! Rzeczywistość i światy wirtualne okazują się być połączone znacznie ściślej, niż się to dotąd wydawało i nie są tym, za co je uważano.

Co jest prawdziwe, a co urojone? Kim jesteśmy, a kogo jedynie odgrywamy? Czy śmierć jest ostateczną granicą, a jeśli tak, to kto mieszka za nią?

„Na pierwszym poziomie zanurzenia „Vivo" jest trzymającą w napięciu i dowcipną powieścią przygodową. Na drugim poziomie zanurzenia otrzymacie inteligentne science-fiction, stawiające pytania o odpowiedzialność człowieka względem światów, które sam stworzył. Na kolejnym poziomie zanurzenia… musicie się zastanowić, czy macie odwagę zejść tak głęboko." - **Katarzyna Rupiewicz**, autorka „Redlum"

https://geniuscreations.pl/ksiazki/vivo-istvan-vizvary/



Idź i czekaj mrozów
Marta Krajewska

W świecie, gdzie puszczą włada leszy, w jeziorze żyją topielce, a nocami wśród chat przemykają zmory i strzygonie, młodziutka Venda musi stanąć na straży bezpieczeństwa mieszkańców Wilczej Doliny. Przyjdzie jej mierzyć się nie tylko z bogami czy stworzeniami nocy, ale znacznie groźniejszymi przeciwnikami: samotnością, strachem i zwątpieniem.

Na oczach Vendy wypełnia się starożytne proroctwo. Do Wilczej Doliny powraca DaWern – ostatni z Wilkarów. Zemsta Pana Lasów za rzeź jego dzieci wydaje się nieunikniona. Czy zakazana miłość stanie na drodze przeznaczeniu, czy też pozwoli wypełnić przerażającą przepowiednię? Jak potoczą się losy zakochanego w zielarce syna karczmarza, pięknej minstrelki Stalki, towarzyszącego jej wojownika i innych mieszkańców wioski, z których każdy skrywa swoje tajemnice?

„Stare opowieści krążą między nami, a my żyjemy między nimi. Podążałem znajomymi tropami, gubiłem się w nich i dawałem oplatać pełnej grozy magii, w którą schwytała mnie autorka." - **Paweł Majka**, autor „Pokoju światów" i „Wojen Przestrzenii", dwukrotny zdobywca Literackiej Nagrody im. Żuławskiego

I TOM OPOWIEŚCI Z WILCZEJ DOLINY

https://geniuscreations.pl/ksiazki/idz-i-czekaj-mrozow-marta-krajewska/



Zaszyj oczy wilkom
Marta Krajewska

Podczas każdej pełni księżyca mieszkańcy Wilczej Doliny ryglują drzwi w chatach i siedzą w ciszy, nasłuchując z niepokojem wycia wilkołaka. Pochłonięta własnymi kłopotami Venda nie potrafi w pełni poświęcić się obowiązkom Opiekunki. Nikt nie wie, jak wygórowaną cenę zapłaciła dziewczyna za pomoc otrzymaną od Pana Lasu i jak długo jeszcze będzie jego dłużniczką.

Atra, niepomna ostrzeżeń, pragnie nie tylko odzyskać to, co utraciła, ale również zemścić się. W trakcie swoich poszukiwań odkrywa, że być może ostatni z wilkarów będzie w stanie jej pomóc. Czy jednak jej starania nie doprowadzą do jeszcze większych nieszczęść? Więź łącząca Vendę i DaWerna nie może zostać zerwana bez straszliwych konsekwencji.

W świętym gaju bogowie milczą, a Venda czuje się opuszczona i bezsilna. Nad Wilczą Doliną zapada zmrok…

„Nikt, tak jak Marta Krajewska, nie potrafi przedstawiać słowiańskiej fantasy poprzez lokalność z jej barwnymi obrzędami i rytuałami. „Zaszyj oczy wilkom" nie jest kolejną epicką opowieścią o zbiorowisku herosów albo jeszcze jedną wariacją na temat „Gry o Tron". To oryginalna, swojska a przy tym tajemnicza fantasy." - **Paweł Majka**, autor „Pokoju światów" i „Wojen Przestrzenii", dwukrotny zdobywca Literackiej Nagrody im. Żuławskiego

II TOM OPOWIEŚCI Z WILCZEJ DOLINY

https://geniuscreations.pl/ksiazki/zaszyj-oczy-wilkom-marta-krajewska/



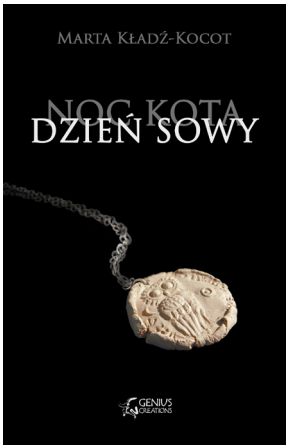
Noc między Tam i Tu
Marta Krajewska

Oto wzruszająca historia siedmioletniego Bratmiła. Pewnej letniej nocy samotnie wyrusza na poszukiwanie swojej siostrzyczki, małej Paprotki. W lesie spotka istoty ze słowiańskich baśni i legend, które pomogą mu odnaleźć nie tylko ją, ale przede wszystkim siebie.

Marta Krajewska z wdziękiem porusza trudny temat rywalizacji między rodzeństwem. Zaprasza dzieci i ich rodziców na wyprawę do spowitego słowiańską magią świata. Z wyprawy Tam Wasze pociechy wrócą Tu odmienione i bardziej kochające.

OPOWIEŚĆ Z WILCZEJ DOLINY

https://geniuscreations.pl/ksiazki/noc-miedzy-tam-i-tu-marta-krajewska/



Noc kota, dzień sowy: Zamek Cieni Marta Kładź-Kocot

W Castelburgu, bogatym portowym mieście, władzę przejmuje makiaweliczny Książę, a wygnani arystokraci zakładają Bractwo i z pomocą niejakiego Dionisiusa Grandiniego próbują obalić tyrana. W Emain Avallach, siedzibie magów, niepozorny bibliotekarz zostaje skazany na śmierć, a para kochanków wygnana. W odległym…

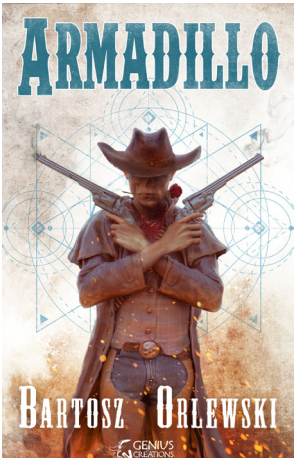
Zatrzymajmy się przy parze kochanków. Opowieści o wielkiej miłości mają zawsze wyjątkową moc. Wiedzą o tym Prządki, więc kiedy na ich oczach rodzi się taka opowieść, uważnie ją obserwują. Siądźmy więc cicho i patrzmy, jak splotą historię Mitrii i Jardala, dwojga czarodziejów, którzy pokochali się, łamiąc tym samym prastare prawo. Udajmy się z nimi w podróż w poszukiwaniu siebie samych i siebie nawzajem.

Wytężcie słuch! Nocą usłyszycie stąpanie miękkich kocich łap, a w dzień prawie bezszelestne bicie sowich skrzydeł.

„Najpierw pomyślałam, że to historia o miłości, a pomysł na główny wątek jest czarujący i niebanalny. Potem doszłam do wniosku, że to jednak będzie opowieść o magii i politycznej intrydze. Następnie wpadło mi do głowy, że wszystkie drogi prowadzą do pewnego miasta i będzie to historia jego przemian. Jeszcze później dotarło do mnie, że i miasto, i bohaterowie dążą do wolności. Ta powieść ma wiele poziomów, wiele znaczeń i wciąż się zmienia, wciąga i fascynuje. Z każdą odwrócona stroną zapadałam się w nią bardziej, ciekawa, czym jeszcze mnie zaskoczy." – **Marta Krajewska**, dwukrotnie nominowana do nagrody Janusza A. Zajdla

I TOM NOCY KOTA, DNIA SOWY

https://geniuscreations.pl/ksiazki/noc-kota-dzien-sowy-zamek-cieni-marta-kladz-kocot/



Armadillo
Bartosz Orlewski

Do Armadillo przyjechali tak jak przystało na Dzikim Zachodzie: w samo południe, z rewolwerami w dłoniach, by obrabować bank. Niestety, nic nie poszło zgodnie z planem. Zginęli, a miasteczko zostało przeklęte. Dla czterech z nich był to prawdziwy koniec, ale dla Toma dopiero początek.

Sto lat później klątwa zaczyna słabnąć, a Tom, strażnik Armadillo, wreszcie poznaje prawdę o tajemniczym magu-bankierze, odpowiedzialnym za śmierć przyjaciół i jego własny parszywy los.

Jednak w Armadillo prawda nie wyzwala, nie uszlachetnia… zmienia jedynie kajdany na okowy i z deszczu lądujesz prosto w gównoburzy!

Witajcie w Armadillo!

„Western, horror, groteska i bohater z ogniem zamiast oczu… Książka Bartosza Orlewskiego to pozycja dla tych, którzy lubią szaleńczy slalom między literackimi gatunkami, w stylu jak najbardziej dowolnym." – **Dawid Kain**, autor powieści „Kotku, jestem w ogniu" i „Fobia"

https://geniuscreations.pl/ksiazki/armadillo-bartosz-orlewski/